Nr. 19 We Lwowie, 1 października 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Z teki starego leśnika

Gorzkie są chwile dla myśliwego, gdy przykuty kancelaryjną robotą siedzieć musi przy biurku nad rządową bibułą i przez okno swej siedziby patrzeć tylko może na pola, łąki i bory, świeżą ponową zasypane. Robota mu wtedy nie idzie składnie, kolumny cyfr zgadzać się z sobą nie chcą, co chwila robi nowe omyłki, sadzi kleksy, przerabia cyfry w olbrzymiej księdze, bo przed jego oczyma przesuwa się brodzący w kniei odyniec, rogaty jeleń, lub czerwony lisek. Praca jednak skończona na czas być musi — czeka na nią srogi urzędnik ministerjalny. Spiesz się więc miły kolego z jej skończeniem, lecz pamiętaj, że każdy błąd, niewłaściwie postawiona kreska, lub źle umieszczona kropka nie ujdzie oka srogiego zwierzchnika, czeka cię conajmniej srogi „wygowor“ jeśli nie całkowita „dyma“, tem nie mniej nieunikniona, gdy na twą posadę czeka oddawna jakiś partyjnik, lub protegowany zwierzchności. Kończ więc akuratnie twą pracę nudną, raporty ślij ekspresem do władzy, sam bierz flintę na ramię i ruszaj do kniei. Tam znajdziesz wytchnienie, jej piękny widok rozweseli ci umysł, orzeźwi cię zdrowe powietrze, nabierzesz nowej siły do pracy, energji do życia i czynu.

Jeleń, łoś, dzik i sarna są tą przednią zwierzyną, o zdobyciu której marzy każdy myśliwy, a ich trofeami zdobi sobie chętnie swą siedzibę — lubując się z dumą ich widokiem — lecz mamy jeszcze wiele drobniejszej, mniej ogółowi łowców znanej zwierzyny, zdobycie której sprawia myśliwemu niemniej uciechy i miłe wspomnienie polowań na nie, pozostawia na całe lata. O tej to zwierzynie na wstępie mego dziennika pragnę pomówić najpierw.

Jako potomek niegdyś rycerskiego rodu po mieczu i po kądzieli, odziedziczyłem po mych praojcach niespożytą siłę, zdrowie i energję, a po mym rodzicu wytrwałość w wykonywaniu raz powziętego zamiaru, upór nieprzełamany i namiętność myśliwską. Jako ulubieniec ojca od najmłodszych lat, towarzyszyłem mu w jego myśliwskich wyprawach, od niego nauczyłem się wielbić twórczość Bożą, on mi pokazał wiele tajemnic natury i obznajomił mnie z życiem i obyczajami zwierzęcego świata. Grunt ku temu znalazłem w rozległych włościach ks. T. i T. na granicy Śląska w Poznańskiem położonych, gdzie mój rodzic pół wieku, a po jego śmierci 35 lat z górą pełniliśmy obowiązki nadleśniczych.

Drzemiące lasy sosnowe — dębowe bory — knieje, moczary, ogromne stawy, rzeki i rzeczółki, zapewniały tu wszelkiemu stworzeniu obfite pożywienie i potrzebny spokój do rozpłodu. Dzik, jeleń, sarna w wielkiej płodziły się ilości, nie brakło i drobnej zwierzyny i mniejszych leśnych i wodnych rabusiów, czworonożnych i skrzydlatych. Ryś stale się trzymał w naszej kniei, a

wydra prowadziła swą rabunkową gospodarkę w zarybionych stawach, jeziorach i rzeczkach. O tej to szkodnicy pragnę przedewszystkiem kilka wierszy napisać.

Wiele o tem zwierzęciu opowiadał nam ojciec ciekawych wydarzeń własnych. Robaka, pana Chryzostoma Paska miałem ciągle w pamięci, więc też postanowiłem bliżej poznać tego szkodnika. Okazji do tego nie brakowało, a choć wiele czasu, trudu i mozołu w tym celu poniosłem, rezultaty osiągnięte aż nadto mi to nagrodziły i nigdy nie żałowałem spędzonych bezsennie nocy na czatach, na tego rabusia wodnego.

Wydra, jako nocne stworzenie dla swych niszczycielskich wypraw, przekłada najchętniej noce ciche, bezksiężycowe; wycieczki swe urządza nieregularnie, zaczynając je od plądrowania wód przeciw ich biegowi, a kończąc z ich odpływem. Trudno byłoby mi określić długość czasu, jaki spędza w wodzie w pościgu za pożywieniem, jak niemniej ilość spożytej ryby. Znajdowałem nieraz 2 a niekiedy i 3 głowy zjedzonych ryb, jak sądzić mogłem po ich rozmiarach 2—3 funt., przyczem wyraźnie odciśnięte ślady rabusia, wskazywały jedno tylko zwierzątko. Pierwsze moje polowanie na wydry, jak i kilka następnych, zrobiło kompletne fiasco, rezultatem czego była oracja mej żony, zawsze przeciwnej mym nocnym exkursjom. Mimo jednak całego uznania racji mej połowicy i chęci jej dogodzenia, gdy tylko nawet wątpliwa nadzieja zdobyczy zdarzyć się mogła, wymykałem się cichaczem z domu i wtedy ani ściągnięta w łuki suta brew na białem czole mego Skarbu, ni słota, ni mróz w domu, zatrzymać mnie nie zdołały.

W jeden z takich dni znalazłem ślady wydry, przechodzącej z dalszych wodozbiorów do pobliskich stawów. — Od 9-tej wieczór siedziałem ukryty za upustem w oczekiwaniu rabusia, pożądanego tak serdecznie od tak dawna. Chłodny wiatr listopadowy świszczał w wysokich, dalekich trzcinach, ostrem swem tchnieniem ciął mnie boleśnie po twarzy, chłodny dreszcz wstrząsał mem zziębłem ciałem coraz częściej, a mej wydry jak nie było, tak nie było widać. W dalekiej wioszczynie koguty wypiały północ — psiska od czasu do czasu przerywały ciszę naszczekiwaniem dalekiem, wyrzuty sumienia za robienie mej ukochanej żonie ciągłej przykrości wycieczkami zaczęły gryść mą duszę — było mi niewesoło — postanowiłem wkrótce wracać do domu.

Właśnie w tej chwili wiatr rozpędził nagromadzone chmury, pucułowata gęba księżyca oświeciła stawy i groblę, i w jej blasku dostrzegłem jakiś długi cień, zbliżający się przez groblę do mego ukrycia. Palnąłem w chwili gdy mnie mijał, a gdy obłoczek dymu rozpełzł się w przestworzu, ujrzałem bez ruchu leżące przedemną zwierzątko. Długo przewracałem je na wszystkie strony, nie mogąc się dość nacieszyć jego pięknym wyglądem i puszystością srebrzystego futra. Radości mej zaćmić nie mogła nawet myśl o czekającej mnie „reprymendzie" mej małżonki. Pierwsza ma wydra, wspaniały samiec o pysznem futrze!

Dziś znów siedzę na czatach przy młyńskich zastawach. Spokojna tafla jeziora jak lustrzana, lśni się w blasku zachodzącego w pełni księżyca — w absolutnej ciszy, jakby nieśmiało niekiedy zaskrzeczy żaba, gdzieś daleko zapłacze czajka, lub odezwie się rozkochany kaczor. Mijają leniwie długie godziny oczekiwania, zwierza nie widać, sen ciśnie się w oczy, ranek nadchodzi. W tem zaledwie dosłyszalny plusk wody i kilka kręgów wzburzonej fali z przeciwnego brzegu zakołysało spokojną powierzchnią jeziora. Mam cię! Pomyślałem i z wytężonym wzrokiem wyczekuję wynurzenia się rabusia. Przeszła godzina, prawie dnieć poczynało gdy woda znów zafalowała i na mym brzegu pokazała się wydra.

Nie czekając, aż całkiem wylezie na brzeg, dałem ognia. Słup wody trysnął w górę, huk strzału zacichł w powietrzu — wydry nie było. Byłem jednak tak pewny swego strzału, iż postanowiłem poczekać do wschodu słońca i odnaleźć postrzałka, jako też po godzinie znalazłem go przez prąd wody na miał wyrzuconego. Był to tak wspaniały okaz o srebrzystem owłosieniu, iż w nagrodę nietylko zwykłej oracji od żonusi nie usłyszałem — lecz dostałem tak szczerego całusa, iż dziś go jeszcze czuję na mych zestarzałych ustach.

Często słyszałem jakieś na stawach pogwizdy przeciągłe, szczególniej w późnej jesieni i rychłej wiośnie. Spędzonych wiele nocy nad rozwiązaniem tych sygnałów zwierzęcych nie dało mi żadnych rezultatów, aż wreszcie nadszedł dzień, a raczej wieczór, którego chyba nigdy nie zapomnę, choćby dlatego tak fenomenalny, że ma małżonka sama do nocnej namawiała mnie wycieczki, obdarzyła mnie czułą pieszczotą i gorącemi całusami, a gdym z oddali ostatnie przesyłał jej pożegnanie na szczęśliwą wróżbę, z pod lekko uniesionej sukienki, jak oślepiająca błyskawica mignęło mi przed oczyma kształtne jej kolanko. Choć wiele razy widok kolanka przyniósł mi szczęście w łowach, dziś od nadmiaru radości zbyt byłem wzruszony i niechybnie spudłowałbym nawet słonia, gdybym w tej chwili musiał do niego strzelić.

C. d. n.



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Z wywczasów wakacyjnych na Wołyniu i Polesiu

(Krótkie myśliwskie sprawozdanie)

W pierwszych dniach sierpnia b. r. wybrałem się na Wołyń w odwiedziny do tych znajomych ziemian, z którymi miałem zaszczyt zetknąć się i poznać ich bliżej w latach 1916—1918.

Brali oni wraz ze mną wybitny udział w pracy społecznej i oświatowej i budowali tam na rubieżach wymarzoną Polskę, już wtedy, kiedy jeszcze wroga „okupantów" stopa piękną tę ziemię deptała. Przed oczyma dusz naszych wyłaniał się z wojennych oparów wówczas świetlany obraz tej, która nie zginęła, obraz Najjaśniejszej Pani, która przyszła wreszcie i wzięła w posiadanie, jako prawowita dziedziczka, tę połać kraju, niestety nie całą.

Zaproszony uprzejmie, znalazłem się więc najpierw w Dolsku, należącym niegdyś do rozległych fortun magnackich Wiśniowieckich, Ossolińskich, Moszyńskich, Orzeszków, a obecnie do p. Emilji z Orzeszków hr. Stadion Rzyszczewskiej i jej syna, hr. Józefa. Dolsk jest dzisiaj taką samą ostoją polskości, jaką był dawniej i silną jej twierdzą.

Majątek to duży o kilku tysiącach ha, doskonale administrowany i pod względem gospodarczym znakomicie postawiony.

Duszą, która go ożywia i twórczą inicjatywą zapładnia, sercem, którem on pulsuje i pracuje, jest dzisiejszy jego pan i dziedzic, młody, pełen energji pracownik i działacz społeczny, p. Józef hr. Rzyszczewski.

Dolsk jako ośrodek wysokiej kultury gospodarczej, promieniujący na cały Wołyń, godzien jest szczególniejszej uwagi i pod innemi także względami. Już sama sie-



„Kureń" na Holczy z uczestnikami łowów. 16/VIII 1928.

dziba dostojnej rodziny zachwyca oko tak harmonją architektonicznych kompozycyj, jak pięknością położenia i malowniczością pejzażu. Nas myśliwych jednak interesuje ten majątek przedewszystkiem swojem łowiectwem, które tam z gruzów się dźwignęło i teraz tak wysoko stanęło.

J. O. CURWOOD

Włóczęgi północy

(Nomads of the north)

W przekładzie Jerzego Marlicza

Z pięknej tej opowieści przytaczamy tu, z upoważnienia p. Haliny Borowikowej, posiadającej wyłączne prawo do dzieł J. O. Curwooda na Polskę, jeden z ustępów. „Włóczęgi północy" to niezwykła para przyjaciół: „Niua" (niedźwiadek sierota) i „Miki", pies, mieszaniec wilczura i innych ras, właściwych najbardziej północnym okolicom Ameryki. Ustęp wybrany przez nas opiewa pożar lasów i w barwny sposób przedstawia zachowanie się dzikiego zwierza w obliczu tego groźnego kataklizmu. *W. Z.*

Ale w roku bibinekem gide (suszy i pożarów) jagód było bardzo mało. Wraz z połową lipca delikatna strzeżoga zwisła ponad lasami. Deszcz nie padał od trzech tygodni. Nawet noce były suche i upalne. Agenci kompanji co dnia niespokojnym wzrokiem poglądali na swe rejony, a w początku sierpnia każda faktorja miała już patrole złożone z Indjan i metysów, które przebiegając bór we wszystkich kierunkach, strzegły go od pożaru. Ci z pośród mieszkańców kniei, którzy na lato nie przenieśli się do fortów, trwali w lękliwem oczekiwaniu; co rano, co wieczór i co noc traperzy pięli się na wyniosłe drzewa i poprzez drżący welon strzeżogi szukali kłębów dymu lub łuny ognia. Oddawna już wiatr wiał uparcie z południowego zachodu, a tchnienie jego było tak upalne, jakby leciał z nad skwarnych piasków pustyni. Jagody uschły na krzakach; owoc jarzębiny zgrzybiał i zczerniał; łożyska strumieni świeciły nagiem dnem; mokradła zmieniły się w spękane złoża torfu, a liście topoli wisiały martwe i skręcone w rurki. Nawet leśny bywalec zaledwie raz lub dwa razy w życiu widuje liście topoli pozbawione tak dalece wszelkich soków żywotnych. Jest to kiski wehun (sygnał trwogi). Wróży on nietylko możliwą śmierć śród morza płomieni, lecz wieści również sezon zimowy ubogi w futra, oraz głód.

Gdy nadszedł dzień piątego sierpnia, Niua i Miki znaleźli się w krainie wielkich błot. Panowała tu nieopisana spiekota. Niua miał wypalony ozór, a Miki dyszał ciężko, i tak oba wlekli się wzdłuż płytkiej strugi ciemnej jak mogiła, a martwej jak ten cały kraj. Nie było widać słońca; promienie jego próżno starały się przebić gęstą oponę mgły, która zwisała nad ziemią coraz niższa i coraz bardziej zwarta. Ponieważ szli głęboką kotliną, położoną o wiele niżej niż otaczający kraj, wonie i dźwięki omijały ich częściowo. Już o pięć mil dalej usłyszeliby z pewnością grzmot kopyt i racic, oraz trzask gałęzi łamanych naporem wielkich zwierząt, które umykały przed śmiertelną grozą ognia. Tymczasem zwolna brnęli spieczonym bajorem, a koło południa, opuszczając nizinę, wy-

Oglądałem tedy w Dolsku ciekawą farmę dzikich bronzowych indyków amerykańskich, założoną niedawno, bo z wiosną r. 1928.

W lutym ub. r. nadszedł wprost z Ameryki Północnej pełny transport tej rzadkiej a tak wdzięcznej zwierzyny. I doszedł dobrze, bo strat nie było...



Przed tualetą w „kureniu”.
Hr. Rzyszczewski (1) Margrabia de V. (2)

Dzikie indyki różnią się od bronzowych krajowych większą jednolitością upierzenia, silniejszą budową ciała i wyższemi nogami. Wachlarz ich zdobią ciemno-bronzowe szachownice, sterówki zaś obrzeżają wąskie bronzowe obwódki.

Terenem hodowlanym są młode kultury leśne, położone wzdłuż grubszego lasu, blisko pól, aby indyki mogły na nich żerować.

Już w tydzień po przybyciu do Dolska, poczęły indyczki sporządzać sobie gniazda, klecone starannie z traw i liści na ziemi wśród gąszczów, a w drugim tygodniu zaczęły się już wieść, składając od 16—24 jaj, dość wydłużonych o kolorze jasno bronzowym z ciemnemi centkami. Indory pomagały indyczkom przy wysiadywaniu o tyle, że strzegły gniazda wtedy, gdy te schodziły na żer.

Wynik wylęgu był stuprocentowy.

Młode doskonale się wychowały i tegoroczne tak ciężkie mrozy dobrze przetrwały.

Karmi się indyki tylko w zimie jęczmieniem i gryką. Od wczesnej bowiem wiosny do późnej jesieni obchodzą się bez sztucznej karmy, żywiąc się trawami, ziołami, pączkami krzewów, nasionkami, owadami, a szczególniej żołędziami, za któremi przepadają i nawet pod śniegiem skrzętnie je wyszukują.

W stosunku do ludzi są płochliwe i niedowierzające, jednak nie za dzikie i prędko się oswajają. Lubią towa-

---

leźli przez zieloną zasłonę gaju na szczyt urwiska. Jak dotąd żaden z nich nie widział pożaru puszczy. Obecnie doznali niby objawienia. Wszelkie doświadczenie było tu zbyteczne. Instynkt praojców w jednej chwili przesycił ich ciała i mózgi. Świat leśny trafił w szpony Iskutao, demona ognia. Od południa, wschodu i zachodu leżał zda się mrok nocy jak bezmierny czarny całun, a z najdalszego krańca moczarów, które niedawno opuścili, tryskały pierwsze języki płomieni.

Właśnie stamtąd teraz, gdy opuścili kotlinę, ział gorący wiew, a wraz z nim płynął powietrzem głuchy ryk i łomot, niby oddalony grzmot wodospadu. Czekali, węsząc i patrząc, w pierwszej chwili próżno starając się zmienić dziedziczny instynkt na rozumowy proces myślenia. Niua, jako niedźwiedź, był krótkowidzem, to też nie oglądał ani ciemnych zwojów dymu, mknących coraz bliżej, ani języków ognia nad torfowiskami. Zato czuł doskonale i marszcząc nos w niezliczoną ilość fałdek, pierwszy gotował się do ucieczki. Natomiast Miki obdarzony zwrokiem sokolim, stał jak urzeczony.

Grzmot rósł. Zdawało się, że dobiega ze wszystkich stron naraz. Pierwszy tuman popiołu jak forpoczta ognia milczkiem nadleciał z południowej strony i wnet potem buchnął swąd dymu. Miki zawirował w miejscu, cicho jęcząc; ale wodzem ucieczki stał się niedźwiedź — niedźwiedź, którego przodkowie tysiące razy w ciągu stuleci odbywali ten sam dziki bieg w zawody ze śmiercią. Słaby wzrok nie wadził mu teraz. Wiedział przecie! Wiedział, co gna za nimi, co jest po bokach, kędy leży jedyny szlak zbawienia. W powietrzu czuł zgubę. Miki dwukrotnie próbował skręcić ku wschodowi, ale Niua nie zważał na jego zamiary. Kładąc uszy po sobie, rwał na północ. Miki stawał trzykrotnie i zwracał wstecz, by spojrzeć na cwałującą poza nimi grozę, ale Niua nie zatrzymał się ani razu. Mknął wprost na północ, na północ, na północ, ku wyżynom ku otwartym łąkom i wodzie.

Nie byli sami. Minął ich karibu, szybki jak wiatr. — Prędko! Prędko! Prędko! — Niuy instynt wołał — i wytrwale! — Karibu bowiem, zwinniejszy w biegu niż pożar, padnie wkrótce z wyczerpania i ogień go zwęgli. Zatem — prędko lecz wytrwale!

I Niua mknął przez las równym flegmatycznym cwałem.

Przeciął im drogę łoś, galopujący z zachodu, a tak zziajany i charczący, jakby miał krtań rozdartą. Był okropnie poparzony i ślepo rwał na stojącą od wschodu ścianę ognia.

Z tyłu i z obu stron, kędy płomień szalał jak hordy bezlitosnych Hunnów, śmierć zgarniała obfite i straszne żniwo. W dziuplach, w wykrotach i pod zwałami drzew, u szczytu gęstych koron lub w kryjówkach ziemnych

rzystwo bażantów i chętnie z niemi w polu żerują, roztaczają przytem nad niemi pewien rodzaj opieki i bronią przed atakującym jastrzębiem.

Latają dobrze i prędko, ale podnoszą się niechętnie. Nocują zawsze na drzewach.

W Dolsku trzyma się dzikie indyki nietylko dla celów myśliwskich, ale także dla regeneracji krajowych. Krzyżują się łatwo, zwłaszcza z mamutami bronzowemi i wnoszą świeżą, zdrową krew w ich zdegenerowane szeregi.

Nie wiadomo tylko, czy przez czas dłuższy będą mogły znosić dobrze klimat Wołynia, tak mało słoneczny i bardzo wilgotny.

Dalsza hodowla napewne tę kwestję ustali.

Jeśli się pomyślnie zaaklimatyzują, przybędzie naszym łowiskom nowy, niezwykle piękny gatunek zwierzyny. Indory bowiem tokują na wiosnę, a podchód do nich, przy ich wrodzonej dużej ostrożności może być nawet emocjonujący i zastąpić niejednemu myśliwemu łowy na głuszce...

Bardzo interesującą w Dolsku jest również hodowla kaczek myśliwskich, albo krzyczek, zwanych tam popularnie „krekuchami“. Występują dwie ich odmiany: tulska i syberyjska. Obie zupełnie podobne do naszych krzyżówek, latają dobrze i ciągną wieczorami na pola, wracając jednak zawsze na staw, na którym się urodziły i wychowały. Zdradzają też, co jest ciekawe, daleko posuniętą skłonność do obcowania z człowiekiem. Z początku nawet dzikie, stopniowo później oswajane, przypływają na głos swego żywiciela i biorą z jego rąk pożywienie. Następnie tresowane, uczą się same włazić do koszyka, w którym już jadą na polowanie...

Do celów myśliwskich wybiera się te kaczki, które dy-



Na werandzie w Parochońsku. 18/VIII 1929

chroniły się mniejsze zwierzęta i bez wyjątku marły. Króliki, objęte ogniem, skakały jak piłki i konały potem popękane i czarne; kuny na drzewach piekły się żywcem; wydry, skunksy i gronostaje ginęły w głębi jam; sowy w popłochu opuszczały gniazda, chwiejnie krążyły w żarnem powietrzu i waliły się wdół, między fale płomienia. Wszystkie stworzenia umierały milcząc; tylko jeżozwierze zawodziły jak małe dzieci.

W gęstwie chojarów przepojonych żywicą ogień rwał naprzód ze zdwojoną szybkością i siłą. Nikt nie był zdolen go prześcignąć, żaden człowiek ani zwierzę. Z morza płomieni bił jakby w niebo jeden wielki krzyk: w o d y, w o d y, w o d y! Woda dawała nadzieję życia. Kłótnie, rozłamy, nienawiści, to wszystko w godzinie zguby zostało zapomniane. Każde jezioro było wspólnym rajem zbawienia.

Do takiego właśnie jeziora dobiegł Niua, kierowany nieomylnym instynktem, oraz powonieniem, które jeszcze zaostrzył huk i łomot ognia. Miki doszczętnie zgłupiał; zmysły miał przyćmione. Nos jego łowił jedynie swąd spalenizny, to też ślepo dążył za przyjacielem. Ogień opasał już zachodni brzeg jeziora. Było ono niewielkie i miało prawie kształt kolisty. Średnica jego wynosiła najwyżej dwieście jardów. Pośród wodnej tafli znajdowało się stadko karibu i łosi; niektóre pływały, ale większość stała na płytkiem dnie, wynurzając z toni jedynie szczyty łbów. Sporo krótkołapych stworzeń uwijało się tu i ówdzie, wiosłując nogami tylko tyle, by się utrzymać na powierzchni. Na brzegu, gdzie Niua i Miki przystanęli na chwilę, ogromny jeżozwierz skrzeczał i kwiczał zawzięcie, jakby gderząc na wszystkich, że mu przeszkodzono spokojnie zjeść obiad. Uspokoił się jednak wreszcie i wszedł do wody. Nieco dalej lis, skulony tuż nad brzegiem, czekał jeszcze, nie chcąc zmoczyć cennego futerka, aż mu śmierć w oczy zajrzy; inny lis, który przepłynął właśnie jezioro, umykając z przeciwległej łachy, opasanej już wałem płomieni, gramolił się na suszę, ociekający wodą i zmięty jak szmata. Najwidoczniej sądził, że tu będzie bezpiecznie; tymczasem jednak z gęstwy wypadł sapiąc stary niedźwiedź, dwukrotnie większy od Niuy, skoczył w wodę i odpłynął na środek jeziora. Drobne zwierzątka smygały, pełzały i czaiły się u mielizny: czerwonookie gronostaje, sobole, kuny, króliki, wiewiórki, koszatki, oraz tłumy myszy. A Niua, który w normalnym czasie pożarłby chciwie ten cały ludek, nie zwracając nań teraz najmniejszej uwagi, zwolna wkroczył w toń jeziora. Miki podążył śladem przyjaciela, aż woda doszła mu do bark. Wtenczas stanął. Ogień był tuż, mknąc z szybkością wyścigowego rumaka. Ponad zwartą osłoną starodrzewu płynęły tumany popiołu, kłęby dymu i sadz. Czarny welon okrył jezioro, a z pośród okropnego chaosu żaru i ciemni darły się dziwne, przejmujące gro-

sponują donośnym, czystym głosem. Winien być podobny do krakania krzyżówki. Ton i siłę głosu można doskonale regulować odpowiednią karmą, a więc prosem, gryką albo grochem.

Metoda polowania z krzyczką polega na tem, że kaczkę umieszcza się dla pewności na długim sznurku, przywiązanym do jej łapki w zacisznych miejscach na stawach lub jeziorach i czeka na wiosenny ciąg kaczorów. Zwabia ona donośnem kwakaniem rozamorowane męskie osobniki wszelkich gatunków, które, słysząc jej tęskny głos, zlatują się ze wszystkich stron i giną od śrutów ukrytego w krzaku lub czółnie strzelca. Strzela się kaczory w locie i na wodzie po kilkanaście jednego ranka lub wieczora...

Opowiadał mi p. Rzyszczewski, że przy jednej swojej krzyczce ubił w ciągu lat kilku 570 kaczorów! Ulubiona ta kaczusia, nazwana przez niego „my girl", zginęła tragicznie, rozszarpana przez gołębiarza wtedy, gdy chwilowo bez dozoru siedziała sobie w koszyku na gazonie przed oknami pałacu. I rozbójnik nie poniósł nawet zasłużonej kary, bo uciekł za nadejściem człowieka...

Skrzydła jej, rozpięte z pietyzmem na deszczułce, opatrzone datą i smutnym opisem śmierci, oglądałem w hallu.

Hodowlę krzyczek prowadzi się w Dolsku na wielką skalę, zwłaszcza tulskich, jako mających lepszy głos i łatwiejszych do tresury. Ale i syberyjskich jest dużo. Często też łączą się z niemi i krzyżówki. Przy częściowem wyłapywaniu krzyczek z końcem sierpnia b. r. złowiono także trzy dzikie kaczki i przeznaczono do krzyżowania z tulskiemi. Dostały zaraz numerowane obrączki na łapki.

Rzucam obecnie garść dat, ot tak, od ręki, dla zilustrowania poczynań łowieckich w Dolsku.

Tereny łowiskowe zajmują tam około 6000 ha pól, łąk i lasów, z czego w połowie stworzono już obwody łowieckie, reszta zaś jest w toku rejestracji, a w najbliższej przyszłości dołączy się jeszcze co najmniej 3000 ha obwodów wspólnych. Wśród tych, bądźcobądź dużych obszarów, leży ośrodek łowiecki, dominjum Dolska, o przestrzeni przeszło 2000 ha.

Łowiectwo prowadzi się jako osobny dział w administracji majątku. Na czele jego stoi fachowiec — łowczy z odpowiednim personelem łowieckim.

Do tradycji Dolska należy „łowiectwo polowe", połączone z racjonalną hodowlą zwierzyny, stacją doświadczalną i tępieniem kłusownictwa i drapieżników.

Łowiectwo posiada wszelkie urządzenia hodowlane, a więc: dwie bażantarnie-indyczarnie, łapaki różnych systemów na drapieżce, remizy ochronne i poletka pokarmowe dla zwierzyny karmionej sztucznie w zimie.

Kuropatwy, oprócz złowionych sieciami dla przezimowania i bażanty pozostałe w remizach, dokarmia się w kilkudziesięciu budkach, rozmieszczonych w odpowiednich miejscach.

System hodowli jest sztuczny, oraz kombinowany z fachowym doglądem hodowli na dziko.

Sekcję i ekspertyzę chorych, względnie padłych sztuk,

---

zą głosy. Brzmiał jękliwy bek młodego łosia palonego żywcem; straszliwy ryk jego matki, wycie konającego wilka, oraz pełen przerażenia szczek lisa.

Poprzez gęstniejący dym Niua sapnął w stronę Mikiego, jednocześnie ruszając wpław; Miki odpowiedział krótkim skowytem i również począł pływać, trzymając się tak blisko czarnego druha, że pyskiem sięgał jego boku. Znalazłszy się w samym środku jeziora, Niua uczynił tak, jak inne zwierzęta — wiosłował łapami tylko tyle, by nie pójść na dno. Dla Mikiego, który był niezwykle kościsty i nie posiadał wcale tłuszczu, rzecz przedstawiała się gorzej. By nie utonąć, musiał trwać w ciągłym ruchu. Kilkanaście razy opłynął Niuę, aż zrozumiawszy sytuację, oparł przednie łapy o kark niedźwiedzia.

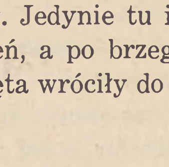
Wokół jeziora stał teraz ognisty mur. Sosny i jodły, przepojone żywicą, trzaskały ostro, a w rozdygotanem powietrzu płomienne języki biły na pięćdziesiąt stóp wzwyż. Ryk rozpętanego żywiołu grzmiał niepowstrzymanie. Ginęły w nim wszelkie dźwięki bólu, rozpaczy i agonji. Panował okropny żar. W ciągu paru straszliwych minut powietrze, które Miki wciągał w płuca, paliło żywym ogniem. Niua co chwila nurzał łeb w wodzie, ale Miki instynktownie zdragał się go naśladować. Narówni z wilkiem, rysiem i lisem gotów był raczej umrzeć, niż dać nurka.

Pożar minął tak szybko, jak się pojawił; drzewa do niedawna lśniące zielenią, były teraz zwęglone i czarne. Wraz z zanikiem płomieni ginął ich trzask i łomot, aż znów brzmiał już tylko w oddali niby stłumiony ryk.

Zwierzęta brnęły zwolna ku ciemnym, dymiącym łachom. Wiele zmarło z pośród tych, co szukały schronienia w jeziorze. Najgorzej poszło jeżozwierzom; wszystkie utonęły.

Na brzegu panował silny żar i jeszcze długie godziny tlały resztki ognia. Przez pozostałą część dnia i całą następną noc żadne żywe stworzenie nie opuściło płytkich mielizn. Nikt jednak nie próbował ukrzywdzić sąsiada. Straszne niebezpieczeństwo zrodziło braterską wspólnotę.

Drugiego dnia o zmierzchu przyszła wielka zmiana. Wypadł rzęsisty deszcz, i gdy z nastaniem świtu słońce ponownie wyjrzało z pośród chmur, jezioro przybrało już wygląd normalny. Jedynie tu i ówdzie pływały trupy zdechłych stworzeń, a po brzegach walało się sporo padliny. Żywe zwierzęta wróciły do ponurej kniei, a wraz z niemi Niua i Miki.



dokonuje dla Dolska Akademja Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie.

Oprócz wymienionych wyżej gatunków rozwija się w Dolsku staranną hodowlę sarn i zajęcy.

W miesiącach grudniu r. 1928 i styczniu 1929, straż łowiecka wyśledziła i schwytała na gorącym uczynku 11 kłusowników, zebrała na pograniczu dworskich terenów 524 wnyków i sideł na zające, 12 pętli na sarny i 20 sideł włosiennych na kuropatwy. Oprócz tego odebrała kilka sztuk broni myśliwskiej, co uczyniła przy wydatnej pomocy policji, zwłaszcza bardzo chętnego i ofiarnego posterunku w Turzysku.

W kuropatwiarni przezimowało ubiegłej zimy 111 kuropatw, które w dobrej kondycji wysadzono z początkiem marca na pola. Czy jednak nie zawcześnie, specjalnie tej wiosny?

W latach między rokiem 1922, w którym rozpoczęła się systematyczna praca nad podniesieniem zwierzostanu, a rokiem 1928, w którym doszło się już do poważnych rezultatów, trzeba było pokonać ogromne przeszkody i podjąć nadzwyczajne wysiłki, aby doprowadzić rewiry do należytego stanu, aby wytępić rozmnożone nadmiernie szkodniki, a podnieść możliwie wysoko ilość i jakość zwierzyny pożytecznej.

Gdy w r. 1922 było zajęcy nie więcej niż 20, to w r. 1928 liczono ich już ponad 800 sztuk, gdy przedtem było lisów 18, to dzisiaj występują one tylko sporadycznie, gdy w r. przełomowym było tchórzy 200, to obecnie jest ich najwyżej 15...

W czasie od 15 sierpnia 1925 r. do stycznia 1929, zastrzelono lub złowiono: kotów115, lisów 15, borsuków 3, kań 3, tchórzy 12, łasic 100, psów 103, orłów 8, szkodliwych jastrzębi 109, srok 277, wron 299, srokoszy 11, sójek 36, sów szkodl. 15, razem sztuk 1099.

Pustułki i myszołowy w Dolsku się oszczędza, jak również sowy płomykówki i błotne.

Tej jesieni zacznie się polowanie na jastrzębie przy pomocy oswojonego puhacza, oczekującego na swoją kolej w dużej, wygodnej woljerze. Widziałem się z nim kilka razy.

Taką jest gospodarka łowiecka w tym przedziwnym zakątku Wołynia, a więc naprawdę znakomita i wzorowa i dlatego rokująca na przyszłość najświetniejsze nadzieje.

Żywa i niesłabnąca nigdy energja właściciela Dolska, jego zamiłowania łowieckie i fachowa wiedza, przedewszystkiem przyrodnicza, doskonała organizacja, duże środki materjalne i warunki geograficzne, stworzą tam niebawem cuda myśliwskie...

Jako znakomity strzelec i zamiłowany łowiec, bierze pan Rzyszczewski gorliwy zawsze udział w zimowych polowaniach na wilki, czy to w puszczy Rudnickiej, czy Kossowskiej czy innej i przywozi do Dolska liczne i rzadkie trofea. Podziwiałem przepiękną szubę ogromnego basiora z wypchaną kunsztownie „latarnią" i straszliwemi „kłańcami" w paszczy. Strzelił go w galopie grubym śrutem na jednym przesmyku, gdy równocześnie na drugim ubił jego strzelec w pięknym dublecie starą waderę i młodego wilka.

Za tę nieustępliwą pracę łowiecką u siebie, za to wytrwałe dążenie do stworzenia w Dolsku pierwszorzędnej placówki myśliwskiej, za te trofea, osobliwości i nadzwyczajności kunsztu strzeleckiego składam mu na tem miejscu cześć najgłębszą z serdecznem życzeniem: Darz bór!

Niewyczerpany w pomysłach, aby jeno uprzyjemnić swoim gościom pobyt na Wołyniu, zaproponował nam pan hrabia w dniu 14 sierpnia wyjazd na głębokie Polesie, na polowanie na kaczki.

Byłby to wcześniej uczynił, ale oczekiwał depeszy. — Przyszła, pomyślna, radosna...

Celem podróży były Parochońsk i Holcza, położone nad rzeką Bobrykiem, lewobrzeżnym dopływem Prypeci, hen daleko za Pińskiem...

Parochońsk, własność księżnej Zofji Druckiej-Lubeckiej, słynie na całą Polskę z obfitości kaczek.

Bobryk, toczący powoli swe ciemne nurty, występuje po każdej większej ulewie z brzegów, rozlewa się szeroko i zalewa płytko setki kilometrów kwadratowych przybrzeżnych łąk i krzaków.

Zgoda na ponętną propozycję hrabiego, ale i na nieprzewidzianą bo nieobjętą programem, eskapadę, zapadła szybko i stanowczo...

Któżby się zresztą takiej pokusie, będąc rzetelnym myśliwym, oparł?

Po dokonaniu niezbędnych przygotowań ruszyliśmy nocnym pociągiem z Turzyska na Kowel i Brześć i stanęli w Parochońsku 15 sierpnia o 13^{40}. Nocna depesza z Brześcia przyszła prawie na czas...

Na dworcu czekał na nas samochód, a w nim sama, tych niezmiernych obszarów władczyni, urocza i przemiła księżniczka. W kilkunastu minutach znaleźliśmy się już we dworze, podejmowani serdecznie z całą staropolską gościnnością.

Wnet też po naradzie z Gosposią, wydał p. Rzyszczewski dyspozycje myśliwskie. Meldunki strażników brzmiały bowiem zachęcająco...

Na rozlewach Bobryka zaczęły się już tak zwany „sady", czyli ranne zloty. Po przepędzeniu nocy na zalanych łąkach i bagnach przylatują kaczki o świcie i „sadowią się" na plesach i bocznych ramionach rzeki, wijących się niezliczonemi pętlami wśród krzaków iwiny i rokiciny. Dziwne, zaiste, mają one obyczaje.

Zamiast siedzieć cicho na miejscu w dobrem ukryciu w trawach lub w zacisznych wodnych komyszach, wędrują z miejsca na miejsce, zda się bez celu, chyba dla dogodzenia wrodzonemu cygańskiemu instynktowi, czy kaprysowi i narażają się, jeżeli nie czyhającym na nie gołębiarzom i sokołom, to napewne chytrym strzelcom, siedzącym w czółnach lub przemyślnym Poleszukom, łowiącym je secinami w rozstawione sieci.

Trzeba było wyruszać na „sady" po północy...

Wybierało się na te fascynujące łowy nas trzech:

Francuz, globtreter i zawołany myśliwy, markiz de V., kochany nasz łowczy, hr. Rzyszczewski i ja.

Każdy z nas otrzymał wąskie czółno z ekwipunkiem na dwa dni i Poleszuka do powożenia i obsługi. Ruszyliśmy o pierwszej w nocy, w dół rzeki.

Uroczą doprawdy, była ta jazda... Noc głęboka, niebo nad głową, usiane gwiazdami, a drugie pod nami; cisza niezmierna, woda bez dna i końca, a trzy czółna, jak koszmarne upiory, sunęły cicho w dal nieznaną, jakby z jakiejś góry w przepaść na złamanie karku... Tylko nikły, jak brzęk struny, miękki i obleśny plusk wioseł zdradzał nasz szlak i tylko on był wzajemnym drogowskazem...



Księżna Zofja Drucka-Lubecka z wiosłem na rozlewach Bobryka. 17/VIII 1929

Nikt nie mógłby nas zauważyć, nikt inny, chyba tylko kaczki, które swych wrogów raczej wyczuwały...

Ledwie wyjechaliśmy z przystani w parku, już zaczęły wzlatywać i kwakać trwożnie, czyniąc szum taki, iż się zdawało, że się naraz podnoszą całe ich tysiące... — A żadnej jeszcze widać nie było!

Tymczasem na wschodzie poczęło niebo jaśnieć, ciemności rzedły i ustępywały, a sylwety Poleszuków ostro się już pod światło rysowały. Widzieliśmy coraz lepiej ich zgarbione korpusy i opierające się na wiosłach ręce.

Przed trzecią nad ranem byliśmy na miejscu, na „sadach“. Rozjechawszy się cicho po zalewach i ukrywszy dobrze w porostach, czekaliśmy na pierwszy, umówiony strzał hrabiego. Jakoż zagrzmiał niebawem...

Ledwie echo jego, roznosząc się w stu tonach, przebrzmiało, zaczęła się niesamowita kanonada... Strzelaliśmy do kaczek lecących, zapadających przed czółnem, siedzących na wodzie i zrywających się do ucieczki. Leciały stadami, siadały tłumnie zrzeszonemi rodzinami i pływały jakieś dziwaczne, ogromne wśród tumanów mgły, podnoszącej się właśnie z wody. Mój brauning tak się rozgrzał, że parzył palce, jak ogień, a Poleszukowi aż oczy się śmiały za każdym udatnym strzałem. Było ich wiele, ale i pudeł jeszcze więcej...

Najgęściej strzelał nasz łowczy. Dwie strzelby, eżektorki, ładowane przez strzelca, grzmiały bez ustanku. Jak ciężki karabin maszynowy... Wystrzelaliśmy z półtorej setki nabojów, a podnieśli ze 60 kaczek. Wśród nich wyróżniłem później za dnia następujące gatunki: krzyżówki, cyranki, cyraneczki, czernice, podgorzałki, łyżkówki i różeńce. Także i kilka „mergusów“ poległo... Największą atoli daninę złożyły, jak zwykle cyranki.

Wiele kaczek nam przepadło, albo zbarczonych, albo za daleko strzelonych, albo zapomnianych. A że tylko jeden pies, gryfon Bekas, pracował, nic dziwnego, że nie mógł z podawaniem nadążyć.

Około 8-mej rano zaprzestaliśmy krwawego dzieła i pojechali dalej z biegiem rzeki ku Prypeci, do sławnej Holczy. Czekał nas tam „kureń“ na wysepce, czekało kilkudniowe życie beztroskie na łonie natury, całkiem na dziko, czekały noclegi w czółnach, pieczone ziemniaki i kotlety z piersi kaczych, roje moskitów i innych gry-

zoniów i różne dalsze niebywałe przyjemności i niespodzianki.

Po dwu godzinach żeglugi, zdążyliśmy do celu. Okazał się „kureń“... Wylądowaliśmy zaraz i rozpoczęli niczem niekrępowany żywot. Kąpiel w Bobryku ożywiła umęczone rannem wstawaniem i żarem słonecznym ciała, uspokoiła rozklekotane przeżytemi wrażeniami nerwy i spowodowała sen słodki...

Około godziny 14-tej zbudziło nas dalekie warczenie motoru. To księżna pani spieszyła z Parochońska i wiozła nam obiad, owoce i różne inne delicje, a przedewszystkiem samą siebie.

Nad wieczorem wyjechaliśmy na ciągi, ale już w inne strony tej nieobjętej okiem holczańskiej dżungli wodnej. I znowu strzelanina i znowu rozkosze myśliwskie bez końca...

Polowanie zakończył romantyczny powrót do „kurenia“, w górę rzeki, wśród bladej poświaty zachodzącego księżyca.

Trzy czółna sprzężone ze sobą, kierowane mistrzowską ręką dwu Iwanów i jednego Stefana, mknęły cicho szerokiem korytem czarnej, głębokiej rzeki raz jej środkiem osrebrzonym, to znów ponurym cieniem, rzucanym na odmęty przez nadbrzeżne chaszcze.

Jednego papierosa, znalezionego z trudem, paliliśmy we trójkę, a smakował nam, jak marcypan, jedną piosnkę nuciliśmy też razem, jak gondoljerzy na „Canale grande“. I było nam dobrze jak w niebie, a może jeszcze lepiej...

Po posiłku w „kureniu“ udaliśmy się na spoczynek, bo czekał nas nowy wypad na „sady“, znowu o pierwszej po północy!...

Każdy położył się na swojem, dobrze pachnącem sianem wymoszczonem czółnie i zaraz usnął. Ja zdrzemnąłem się około 10-tej wieczorem i to tak twardo, że nietylko nie słyszałem, kiedy nasza najmilsza Gosposia odjechała motorkiem do Parochońska, ale nie obudziłem się nawet wtedy, gdy mój Iwan wypłynął ze mną na rzekę i zawiózł mię na stanowisko pod jakiś tam stóg siana, na jakieś zalanej stojącej halawie... Sam też usiadł i zaraz zasnął...

I spaliśmy obaj w najlepsze... Dopiero gęsta palba obu

moich towarzyszy wyrwała mię z objęć Morfeusza. Zerwałem się na równe nogi i obudziłem Poleszuka. Wyruszyliśmy na łowy... Po drodze kaczki i kaczki! Strzelałem z różnym skutkiem, przeważnie dobrze. Przód czółna napełnił się wnet pierzastym łupem.

Radość moją niezmierną mąciło jednak wspomnienie, że chybiłem do młodego gołębiarza, goniącego cyrankę na jakie 15 kroków odemnie!

Do „kurenia“ przywieźliśmy około 70 kaczek!

Przyprowadziwszy do ładu nasze niegolone od dwu dni twarze, osuszywszy przemoczoną garderobę i obuwie, pogrążyliśmy się w nirwanę, w leniwy bezruch i słodką kontemplację. Śniły się nam jakieś przeogromne wody, jakby morze, a na nich setki, tysiące samych kaczorów...

Mieliśmy jechać jeszcze do Prypeci, ale dla braku czasu zmieniliśmy projekt. — „Wracamy do Parochońska“, zadecydował hrabia, za chwilę nadpłynie motorówka, trzeba się pakować!“ Roma locuta, causa finita! I zaczęliśmy zbierać nasze manatki.

Po krótkim objedzie, podlewanym doskonałym „Vermuthem“, wsiedliśmy do motorówki, która tymczasem zajechała, przywiązali do niej łódkę z bagażami i trofeami i po trzech godzinach bajecznej jazdy przybyli na podwieczorek do Parochońska.

O szóstej wieczorem byliśmy znowu na ciągu, na błotach, w pobliżu dworu. Ale spóźniliśmy się nieco... Kaczki ciągnęły już długiemi łańcuchami, obejmującemi połowę horyzontu. — Łańcuchy rwały się lub zmieniały w sznury, dziwacznie pokręcone, przypominające niekiedy pętlę olbrzymiego lassa. Nadlatywały także chmurami, zasłaniającemi słońce!... Chmury gnały przed siebie, jakby na wyścigach, przeganiały się i zawracały, ale gdzie był początek startu, a gdzie jego koniec, tego nikt nie odgadł... Tymczasem sunęły nowe, jakieś gęste, ciemne, jedne wyżej, drugie niżej, mieszały się z sobą, ścierały, szamotały... Spracowane skrzydła świstały i szumiały, jak ciężka gradowa nawalnica, kwakanie, skrzeczenie, gwizdy, wytworzyły zgiełk nie do opisania, jakby na jakimś bezkresnym kiermaszu kaczym... Nie tysiące, ale setki tysięcy kaczek leciały. — To był ciąg!!!

Ledwie zdążyliśmy zejść z czółen i schować się jako tako za stogami siana, już się zaczęła strzelanina. Kaczki nic sobie z nas nie robiły. Po strzale zrywały się najbliższe i odlatywały z głośnym pokwakiem, by zaraz zapaść, tymczasem nadciągały inne i siadały w trawach tuż koło nas...

Po zachodzie słońca nowe, jeszcze tłumniejsze ciągi! Były naprawdę chwile, kiedy jakby oczarowany tą niesłychaną mnogością zwierzyny, stałem bezczynnie ze strzelbą i patrzyłem w niemym zachwycie na to niepowszednie zjawisko... Później strzelałem w „kupę“ i spadało po pięć, czasem trzy, a najczęściej po dwie kaczki, strzelałem do pojedyńczych sztuk w górę i strącałem je królewskim strzałem pod nogi, paliłem na „sztych“, na „połeć“, w tył, wszystkiemi sposobami...

Ale ani strzelby ani nabojów z pewnością by nie starczyło, gdyby się chciało strzelać do wszystkich kaczek, nadlatujących dobrze na strzał.

W kochanych Jużyńcach na Bukowinie ubijałem ongiś przed wojną po 50 kaczek za jedno popołudnie i po 20 na wieczornych zlotach, ale gdzie im mierzyć się z Parochońskiem! Eldorado czyste, raj kaczy, zbiegowisko ich z całego chyba świata!

Mój towarzysz Francuz, p. de V., umiejący trochę po niemiecku, powtarzał co chwilę: „ unglaublich, unglaublich!“

Każdy z nas zabił na tym ciągu po kilkadziesiąt kaczek ,a p. Rzyszczewski coś około 70-ciu. Wiele z nich



Dolce farniente na motorze. 17/VIII 1929

przepadło w trawach z powodu zapadającego mroku... Strzeliło się np. 15 kaczek i posłało za niemi Poleszuka, to ten podniósł z nich zaledwie 10... I myśliwy i służący zagubili w pamięci te miejsca, w których spadły. Wysłani na drugi dzień poszukiwacze, znachodzili już tylko krwawe ich szkielety... To wałęsające się nad moczarami błotniaki stawowe uczyniły sobie z zabitych kaczek tanią i smaczną biesiadę. Praliśmy więc i do błotniaków!

Ale jak wszystko na świecie, co przyjemne i radosne, skończyć się musi, tak i nasze polowanie się skończyło. Trzeba było opuszczać Parochońsk i serdeczną w nim gościnę. Księżna pani, żegnając nas słowami: „Do miłego zobaczenia się w przyszłym sezonie“, wlała w nas kojącą nadzieję, że jeszcze kiedyś, choćby raz w życiu tam zapolujemy...

Żywiąc dla niej w myśliwskiem naszem sercu wdzięczność niezmierną za te wszystkie jej królewskie dary, za tych kilka dni cudnych polowań, składamy jej na tem miejscu najgłębszą podziękę i hołdy należne.

Niechaj tam szczęśliwie króluje nad Parochońskiem, Holczą i Bogdanówką i rozmnaża w miljony rody kacze i zastępy głuszców, a my wierni św. Huberta rycerze, stawimy się zawsze na każdy myśliwski Jej zew z radością i ochotą.

Kto nie był w Parochońsku, ten nie może mieć wyobrażenia o tem, jak wyglądają ciągi lub „sady“ kacze. Tam dopiero poznaje się w pełni ten przedziwny urok Polesia, który upaja duszę prawdziwego myśliwego, jak czarowny narkotyk i który na niej, jak na kliszy odbija się wiernie cały i na zawsze...

Notatki bibljograficzne

James Oliver Curwood. Ten niesłychanie popularny dziś pisarz, opiewający przygody ludzi i zwierząt, — a zwłaszcza zwierząt, — w najbardziej północnych okolicach Ameryki, pomiędzy zatoką Hudsona, a Alaską, nie doczekał się chyba w żadnym języku tak znakomitych przekładów, jak w języku polskim. Przekłady te, dokonywane przez autorkę, ukrywającą się pod pseudonimem Jerzego Marlicza, przynoszą zaszczyt polskiemu piśmiennictwu. Czytając je, zapomina się zupełnie, że są to tłumaczenia. Jest to rzadka zaleta, wynikła nietylko z gruntownej znajomości języka obcego, ale i z wielkiego talentu władania po pisarsku językiem własnym. Dlatego też przekłady Jerzego Marlicza odbiegają tak daleko od wielu, wielu przekładów, które dorobek nasz tłumaczeniowy niestety tylko zaśmiecają. I dlatego także przekłady powieści J. O. Curwooda są tak rozchwytywane. Czytanie ich sprawia prawdziwą satysfakcję. Gdy się doda, że fabuła utworów Curwooda odznacza się szlachetnością rysów i że wywołuje wysokie wrażenia estetyczne, co, mojem zdaniem, nie zawsze jest udziałem np. Londona, nic nie przeszkadza jak najszerszemu utworów tych rozpowszechnieniu wśród czytelników polskich wogóle, a wśród młodzieży w szczególności. Bliższe szczegóły z życia i działalności Curwooda podał niedawno „Ilustr. Kurjer Codzienny“ (Dodatek do Nru 225 z dnia 19 sierpnia) w obszernym artykule, podpisanym: (kcz).

Korzystając z łaskawego upoważnienia p. Haliny Borowikowej, posiadającej wyłączne prawo do dzieł Curwooda na Polskę, „Łowiec“ ma możność przedrukowania znowu niektórych ustępów, podobnie jak w roku zeszłym ustępów z powieści pod tytułem: „Władca skalnej doliny (The Grizzly). Tym razem będą to ustępy z „Włóczęgów północy“ (Nomads of the north) i z „Szarej wilczycy“ (Kazan, the Wolf-Dog). Pani Borowikowej na tem miejscu, w imieniu Czytelników „Łowca“, najuprzejmiej dziękujemy.

W. Z.

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

(Ciąg dalszy).

W wielu łowiskach samoistnych i większych, jak wogóle należycie gospodarowanych, zasada redukowania drapieżników odpowiednio jest przestrzegana. Dla tem większej zachęty straży łowieckiej do skutecznego tępienia drapieżników, zwłaszcza w porze wiosennej, i energicznego zwalczania kłusownictwa z wnykarstwem, wyznacza się dla niej, oprócz gratisowych nabojów na drapieżniki, odpowiednie strzałowe i osobne premje. Nadto straż łowiecka, szczególnie gorliwa i zasłużona na polu ochrony łowiectwa, może być przedstawicna Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu do specjalnego odznaczenia i opublikowania w „Łowcu“. To samo odnosi się do gorliwych i zasłużonych dla ochrony łowiectwa członków straży policyjnej.

Z drugiej strony jednak istnieje także znaczna ilość rewirów, zwłaszcza mniejszych i dzierżawionych od gminnych spółek łowieckich, gdzie pod względem celowej redukcji drapieżników — czyto z wygody, ignorancji, niedbalstwa, czy wreszcie źle pojętej oszczędności — prawie albo zgoła nic się nie robi. Stąd też w takich rewirach, pozbawionych przytem najczęściej należytej opieki nad zwierzyną a także jeszcze bezlitośnie i bezmyślnie eksploatowanych, zwierzyny jest coraz mniej, miejscami prawie, że nic. Cierpią również na tem prawidłowo zagospodarowane sąsiednie obwody łowieckie, bowiem posiadacz polowania tak zniszczonego rewiru polować w nim może jeszcze w dalszym ciągu już tylko chyba na wyłączny koszt sąsiadów, od których zwierzyna przechodzi na opróżniony teren. Nad etyczną stroną takiej bezgospodarki na własnym terenie, jak i wystrzeliwania na nim zwierzyny sąsiadów, nie trzeba się bliżej rozwodzić. Naturalnie zarzut powyższy dotyczyć może tych tylko luzem chodzących „strzelców“, co to z pojęciem braci myśliwskiej i prawdziwego łowiectwa właściwie że nic nie mają wspólnego.

Poza odstrzałem jako ogólnym środkiem redukowania wszystkich drapieżników, możemy jeszcze — zwłaszcza tam, gdzie sam odstrzał dla osiągnięcia racjonalnego celu nie jest wystarczający — wykonać w myśl art. 41 ustawy, łowienie niektórych drapieżników przy pomocy żelaz, potrzasków, sideł i pułapek, a nawet w razach uzasadnionej potrzeby przy ilościowo nadmiernym stanie tych drapieżników i ich szkodliwości, użyć możemy do tego celu — za osobnem zezwoleniem Ministerstwa Roln. wzgl. Województwa (rozp. Min. Roln. z 17/III. 1928 Dz. U. z 12/IV. 1928 Nr. 45 przekazano uprawnienie Wojewodom) — trutek, wnyków, samostrzałów, dołów-ostrokołów (najgrubsze drapieżniki), lepu, ziarna rozmoczonego w spirytusie i innych podobnych środków (art. 51 pkt. d i ost. ust. prawa łowieckiego).

Dotyczy to mianowicie w całej rozciągłości zwierząt wymienionych w art. 50 ustawy, jak: wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony, oraz częściowo zwierząt uznanych z mocy przepisów prawa rybackiego za szkodliwe dla rybołówstwa, jak: wydra, orzeł - bielik, orzeł - rybołów, piaskowiec (mewa siwa i czapla siwa. Do tej drugiej kategorji zwierząt, z wyjątkiem wydry, pomienione wyżej zezwolenie Ministerstwa wzgl. Województwa na użycie trutek i t. d. niema zastosowania. Nadto dla tem skuteczniejszego tępienia jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, srok i wron, wolno podbierać pisklęta i niszczyć ich gniazda (art. 50 ust.). Przez przeoczenie zapewne, nie wspomina ustawa (w art. 50) o równie dla łowiectwa bardzo szkodliwych błotniakach

oraz kani królewskiej i czarnej, które także w grupie największych i niechronionych szkodników pomieścićby należało.

Poprzednia galic. ustawa łowiecka z r. 1909 (§§ 49 i 1) wkładała na właścicieli i dzierżawców polowań, oraz na strażników łowieckich obowiązek tępienia zwierząt drapieżnych i szkodliwych. Nowa ustawa polska z roku 1927 obowiązku takiego nie przewiduje, a redukowanie drapieżników i szkodników z ducha przepisów pozostawia do racjonalnego uznania myśliwego. Czas i rodzaj polowania na nie według obecnego prawa łowieckiego przedstawia się następująco:

Przez cały rok wolno polować (strzelać i łowić w żelaza, potrzaski, sidła i pułapki) w myśl art. 41 i 50 ustawy na: wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony (ewentualnie, jakto już wspomniano, mogą za osobnem zezwoleniem przy ich łowieniu mieć zastosowanie radykalniejsze środki, jak trutki, wnyki itd).

C. d. n



Korespondencje

Ponownie „Nasze Myszołowy"
w odpowiedzi Panu Kazimierzowi Wysockiemu.

Znakomity myśliwy Pan Kazimierz Wysocki, przytacza w 17-ym Nrze „Łowca", konkretne fakty rozbojów myszołowa, (prawdopodobnie włochatego, gdyż działy się w zimie) fakta liczne i stwierdzone przez tak poważnego obserwatora.

Wobec tego nie mogę kwestjonować ich autentyczności, lecz jak uparty Galileusz (astronom a nie mieszkaniec ś. p. Galicji) powracam przecież do mojej tezy i żalę się tu publicznie na to moje niesłychane niepowodzenie, które mi pomimo półwiekowych badań i obserwacyj nie pozwoliło nigdy przychwycić myszołowa nie tylko in flagranti, ale nawet na cieniu jakiegoś zamachu na naszą zwierzynę.

To jedna sprawa, która mnie rzeczywiście boli skutkiem tak macoszego potraktowania mnie przez los.

A teraz trochę cyfr.

Wiemy wszyscy, że jastrząb-gołębiarz (Polumbarius) jest wielkim szkodnikiem i że jego zgubna działalność stwierdzoną jest ponad wszelką wątpliwość. — Pomimo małej już dziś na szczęście liczby gołębiarzy, daje się nam ten drapieżnik dotkliwie we znaki, gdyż każdy z nich opanowuje duży bardzo rewir, który wyzyskuje sumiennie — choć do jego rzadkości przyczynia się jeszcze ten fakt, że zagospodarowany w pewnej miejscowości nie znosi konkurencji i każdego drugiego gołębiarza stara się przepędzić za dziesiątą granicę.

Tymczasem Lagopus, to ptak towarzyski. Na jednym łanie zwłaszcza w razie obfitości myszy, można ich ujrzeć kilkanaście a w czasie kilkugodzinnej podróży saniami, można ich naliczyć kilkadziesiąt, bądź krążących, bądź też siedzących w napuszonej postawie na przydrożnych drzewach i jakichkolwiek innych wzniesionych punktach, lub też wprost na śniegu. Bez przesady przyjąć można, że kraj nasz zamieszkują w zimie dziesiątki tysięcy myszołowów. Mimowoli ciśnie się nieśmiałe pytanie, coby powinno się stać z naszemi kuropatwami, gdyby każdy z tych licznych myszołowów posiadał drapieżność gołębiarza i opanowany był taką samą krwiożerczością jaką odznaczają się tak wybitnie Ostobuzkie Harpie i Wampiry.

Z relacji Czcigodnego Pana Wysockiego wynika, że Ostobuż bywa licznie odwiedzany przez myszołowy; musiało tak być i dawniej a pomimo to Ostobuż i jego okolica, słynęły z mnóstwa kuropatw i sam miałem miłą i zaszczytną sposobność przekonania się o tem.

Przed laty mieszkałem w Przemyskiem, w okolicy obfitującej w kuropatwy, myszy i myszołowy. Do bardzo dużego kilkudziesięcio morgowego ogrodu dworskiego, bogatego w obszerne partje starodrzewia, zlatywały się w latach mysznych, myszołowy z całej okolicy na nocleg. Drzewa były nimi ugarnirowane, można było naliczyć po 5 i 6 na jednym świerku lub lipie, było ich stanowczo więcej, niż kuropatw na moich terenach łowieckich a przecież ubytku w zwierzynie nie skonstatowałem, chociaż nalot taki powtarzał się codziennie przez całą zimę.

Garączkę „Myszołowową" przebywa każdy myśliwy i hodowca, uległem jej i ja także przed laty i wzywałem gromy na niewinne głowy aż „z Szawła stałem się Pawłem" — do czego bez fałszywego rumieńca się przyznaję.

Obydwaj z p. Wysockim piszemy o tej samej sprawie, oparci o własne doświadczenia, że one są różne nie jest niczyją winą, tembardziej pewny jestem, że pomimo różnicy zdań nie odmówi mi Pan Kazimierz i nadal tak bardzo cennej dla mnie Swojej sympatji i przyjmie nawzajem zapewnienia mego wysokiego poważania i szczery uścisk dłoni.

A. Przedrzymirski

I. Zawody strzeleckie we Lwowie

organizowane przez Z. A. „Pocisk" S. A. od 12—15 IX 1929 r.

Zawody niniejsze były wielkiem świętem strzeleckiem Lwowa. Na stanowisku widzieliśmy zawodników z Warszawy, Krakowa, Lublina, Łucka, Skierniewic. Lwów i wschodnią Małopolskę reprezentowało około 260 zawodników. Na program złożyły się konkurencje, wymagające od zawodników maksimum wysiłku, dlatego też wyniki uzyskane są niezbitym dowodem jak stale wzrasta poziom strzelectwa. Nadmienić należy, że zawodnicy nie byli wyekwipowani zwłaszcza przy strzelaniu małokalibrowem w broń doskonałą.

Protektor zawodów Gen. Bryg. B. Popowicz, Dca O. K. Lwów, interesował się żywo zawodami; dokonał otwarcia zawodów, był dwukrotnie obecny na strzelaniu, ofia-

rował 12 pięknych medali i raczył zamknąć wielkie święto strzeleckie, osobiście wręczając nagrody zwycięzcom.

Imprezę uświetnił Komisarz Rządu Prof. Nadolski ofiarowaniem wędrownej nagrody król. stoł. m. Lwowa, pięknego srebrnego puharu, Dyrekcja Targów Wschodnich, oprócz wielu cennych nagród funduje olbrzymi srebrny puhar wędrowny. Przy rozgrywaniu tej nagrody odwiedził zawodników Prezes M. T. Ł. Juljusz hr. Bielski i zakomunikował, że na zawody Pocisku w roku 1930 deklaruje nagrodę swego imienia. Jak z tego widzimy, akcja Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S. A. spotkała się z całkowitem poparciem i uznaniem sfer miarodajnych, a deklaracja nagród pozwala już dzisiaj wróżyć powodzenie i rozmiary zawodów strzeleckich w r. 1930, w czasie trwania X. Targów Wschodnich.

Organizatorowie zachęceni powodzeniem urządzą oprócz przyszłych zawodów we Lwowie, także wespół z właścicielem Truskawca P. Jaroszem na wzór zagranicy, wielkie konkursy strzeleckie w czerwcu 1930 w Truskawcu.

Wracając do zawodów, należy stwierdzić, że były dostępne bezwzględnie dla każdego, ponieważ Z. A. „Pocisk" S. A. udzieliły amunicji zwłaszcza dla PP. Wojskowych i Członków Stow. F. W. bezpłatnie. Wszystkie główne nagrody zdobyte zostały przez amunicję śrutową i małokalibrową wyrobu Z. A. „Pocisk" S. A. mimo konkurencji naboi zagranicznych.

Na tem miejscu należy złożyć serdeczne podziękowanie Władzom Wojskowym i Miejskim za pomoc w organizacji zawodów. Komitet Zawodów z p. pułk. Jędrychowskim, Sanderem, Mjr. Baszniakiem, Mjr. Magierą, kpt. Passelą i sędziami sprawił, że zawody wymienione należały do najlepiej zorganizowanych imprez strzeleckich we Lwowie.

Równocześnie należy zanotować ważny etap w rozwoju sportu strzeleckiego w stolicy, a mianowicie prace przygotowawcze nad budową strzelnicy małokalibrowej krytej, która ma być w niedalekiej przyszłości wybudowana w centrum miasta według planu T. Jurjewicza.

Wyniki strzelań następujące:

Broń długa wojskowa, amunicja wyłącznie polska (Pocisk).

1) Inż. Pankiewicz Zw. Strzel. Lwów — 41 p. na 50 nagroda puhar,

2) Por. Romańczuk 26 p. p. — 40 p. flakon kryształowy,

3) Por. Teur Lechia — 40 p. plaketa srebrna,

4) Sierż. Symoniak — 40 p. medal srebrny,

5) Prokop Józef P. P. — 36 p. medal srebrny,

Strzelanie małokalibrowe, broń długa dowolna, cal. 22, 200 p. możliwych dystans 50 m.

1) Stankiewicz Józef, P. P. — 183 p. zegarek z wizerunkiem Marszałka,

2) Sołtysik Józef — 181 p. plaketa srebrna,

3) Prokop Józef — 179 p. medal srebrny,

4) Haluza Zbigniew — 176 p. medal srebrny,

5) Kieszkowski Stefan — 173 p. medal srebrny,

6) Sierż. Koszykowski — 173 p. medal srebrny.

Specjalną nagrodę dla najmłodszego zawodnika, otrzymał 9-cio letni Janusz Szczepański.

Strzelanie o nagrodę sprawności, broń cal. 22, 20 strzałów w 200 sekundach, dystans 50 m.

1) kpt. Bereźnicki Z., 176 p., nagroda puhar;

2) Inż. Rogoziński, 173 p., nagroda medal złoty;

3) Chruściel Ludwik, 173 p., nagroda medal srebny;

4) Kalinowska Halina, 172 p., nagroda medal srebrny;

5) Stankiewicz Józef, 172 p., nagroda medal srebrny;

Strzelanie małokalibrowe Pań. Dystas 50 m 3 serje po 10 strzałów.

1) P. Halina Kalinowska, 278 p., broń „Luna", amunicja „Pocisk";

2) P. Elżbieta Jaburekówna, 236 p.

P. Kalinowska za wysoki wynik otrzymuje nagrodę „Pocisku" król. stoł. m. Lwowa i specjalną Targów Wschodnich (srebrny puharek).

Strzelanie małokalibrowe o tytuł „jeden z 10-ciu najlepszych":

1) Kpt. Bereźnicki Z., 284 p., nagroda plaketa złota;

2) P. Kalinowska Halina, 279 p., nagroda medal złoty (najwyższy wynik uzyskany przez kobietę w Polsce).

3) Inż. Komierowski, 278 p., nagroda medal srebrny.

Strzelanie z broni śrutowej.

A. O nagrodę otwarcia Z. A. „Pocisk" S. A.

1) Barański Tadeusz, 19 trafionych na 20, nessesair;

2) Barański Eustachy, 16 trafionych, medal złoty;

3) Hulewicz Karol, 14 trafionych, medal srebrny.

B. O nagrodę wędrowną Targów Wschodnich. 15 rzutków bez wywołania.

1) Barański Tadeusz, 15 trafionych, zdobywa puhar wędrowny i miniaturę Targów Wschodnich;

2) Barański Eustachy, 12 trafionych, po rozgrywce plaketa złota;

3) Dr. Ruczka Aleksander, 12 trafionych, po rozgrywce medal złoty;

C. O nagrodę sezonu.

1) Barański T., 20 trafionych na 20, zegar bronzowy;

2) Barański E., 19 trafionych na 20, medal złoty;

3) Hulewicz Karol, 18 traf. na 20, medal srebrny.

D. O nagrodę „Standu".

1) Hulewicz Karol, 14 trafionych na 15, papierośnica srebrna;

2) Barański E., 14 trafionych na 15, medal złoty;

3) Barański T., 13 trafionych na 15, medal srebrny;

E. Strzelanie o wielką nagrodę wędrowną król. stoł. m. Lwowa i Z. A. „Pocisk" S. A., zdobwa P. Karol Hulewicz z Łucka, 47 trafionych na 50.

2) Barański Tadeusz, 43 trafionych, nagroda plaketa złota;

3) Dr. Ruczka Aleksander, 42 trafionych, nagroda medal złoty.

F. O nagrodę „Złego losu" przynosi zwycięstwo:

1) Georgowi Scottowi, 9 trafionych na 10, zegar marmurowy;

2) p. Jarosz Aleksander, 8 trafionych na 10, medal srebrny;

3) p. Domaszewicz Czesław, 7 trafionych na 10, medal srebrny;

4) p. Jakubowicz Andrzej 6 trafionych na 10, medal srebrny;

5) p. Jarzyna Jan Tadeusz, 5 trafionych na 10, medal srebrny.

Strzelanie małokalibrowe z broni długiej, dowolnej dystans 50 m. 400 punktów możliwych.

1) Inż. Rogoziński, 370 p., papierośnica srebrna;

2) Krasnopolski M., 368 p., medal srebrny;

3) Prokop J., 368 p., medal srebrny;

4) Inż. Komierowski, 367 p., medal srebrny.

Nagrody wędrowne król. stoł. m. Lwowa oraz Targów Wschodnich, będą rozgrywane każdego roku w czasie trwania Targów Wschodnich i po trzykrotnem niekoniecznie kolejnem zdobyciu przechodzą na własność zwycięzcy.



Wystawa Łowiecka w Poznaniu
Wykaz nagród

Dokończenie

48. Dr. Aleksander Ruczka: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 4 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

49. Generał Stanisław Szeptycki: Złota tarcza nr. I. za szable dzicze; 1 medal srebrny za rożki sarnie.

50. Józef Jabłonowski: Złota tarcza za kolekcję szabel dziczych; 2 medale srebrne za szable dzicze; 2 medale bronzowe za szable dzicze; 1 medal mały srebrny i list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

51. Edward Kurnatowski: 1 medal bronzowy za niedźwiedzia; 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za łopaty łosia z głową; 1 medal bronzowy za rogi kozicy; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

52. Stanisław Kurnatowski: Złota tarcza za głowę dzika; 1 medal bronzowy za wieniec jelenia; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

53. Nadleśn. Leon Martyniec: Złota tarcza za wieniec jelenia karpackiego.

54. Leśn. państw. Franciszek Szablewski: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za kolekcję szabel dziczych.

55. Nadl. państw. Stanisław Woszczyński: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za wieniec jelenia; 3 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal bronzowy za łopaty daniela; 1 medal mały srebrny P. W. K. za cały zbiór.

56. Henryk Górski: 1 medal bronzowy za wieniec jelenia; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich.

57. Włodzimierz Bronikowski: 2 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich.

58. Michał hr. Mycielski: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

59. Stefan Muszyński: Złota tarcza nr. III. za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie.

60. Nadl. Franciszek Nowak: 1 medal sr. za kolekcję rożków sarnich; 3 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki kozicy.

61. Jan Jachimowicz: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za głuszca; 1 medal bronzowy za głowę dzika.

62. Ignacy hr. Mielżyński: 1 medal bronzowy za kolekcję łopat danieli; 1 medal srebrny za łopaty daniela; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal srebrny za anormalne rożki sarnie; 4 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal srebrny P. W. K. za cały zbiór.

63. Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania: 1 medal bronzowy za białą wronę; 1 medal bronzowy za wilka; 1 medal srebrny za głowę dzika.

64. Zygmunt Kurnatowski: 1 medal srebrny za kolekcję 3 par rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 4 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za głowę dzika; 1 medal srebrny za wachlarze cietrzewi; 1 medal mały srebrny P. W. K. za cały zbiór.

65. Leśn. Józef Sołtysiak: 1 medal srebrny za głowę dzika.

66. Dobiesław hr. Kwilecki: 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal duży srebrny P. W. K. za zbiór broni starożytnej.

67. Wołyńskie Towarzystwo Łowieckie 1 medal srebrny za głowę dzika; 1 medal bronzowy za puhacze; złota tarcza za najlepszego rysia; 1 medal duży srebrny za cały zbiór.

68. Władysław Janta-Połczyński: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie.

69. Inż. Józef Barcikowski: 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za anormalne rożki sarnie.

70. Bogdan Chorzelski: 1 medal bronzowy za łopaty daniela.

71. Dr. Krzysztof Wize: 2 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal srebrny za rysia.

72. Witold Olędzki: 1 medal bronzowy za lisa albinosa.

73. Joachim Jarochowski: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za anormalne rożki sarnie; 1 medal mały złoty P. W. K. za cały zbiór.

74. Cezar Ramisch: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie.

75. Ordynat Edward hr. Krasiński: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie.

76. Andrzej Książę Lubomirski: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; złota tarcza za kolekcję szabel dziczych; 2 medale srebrne za szable dzicze; 1 medal bronzowy za szable dzicze; złota tarcza za kolekcję kamyków z głuszców i cietrzewi; 1 medal duży srebrny P. W. K. za zbiory kamyków głuszców i cietrzewi.

77. Aleksander Janta-Połczyński: 2 medale srebrne za rożki sarnie.

78. Generał Kazimierz Raszewski: złota tarcza nr. I. za rożki sarnie; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 3 medale bronzowe za rożki sarnie.

79. Zygmunt Galiński: 1 medal srebrny za różki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie.

80. Zdzisław Orłowski: 1 medal srebrny za dzika.

81. Henryk Prek: tarcza złota za szable dzicze; 1 medal bronzowy za wieniec jeleni; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie.

82. Inż. Herman Knothe: złota tarcza za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za łopaty łosia.

Komunikat

W dniu 7 października 1929, o godzinie 10 rano w podwórzu Urzędu Wojewódzkiego w Brześciu n/B., przy ul. Jagiellońskiej Nr. 6, odbędzie się sprzedaż z przetargów publicznych:

29 starych dubeltówek,
4 pojedynek,
12 flowerów,
2 luf dubeltowych,
2 sztucerów.

Do przetargu na wymienioną wyżej broń, dopuszczone być mogą tylko osoby posiadające pozwolenia na kupno broni, oraz osoby posiadające pozwolenia na handel bronią.

w. z. Wojewoda Z. Skrzyński

Przepis na preparowanie czaszki kozła

Na liczne zapytania w jaki sposób należy postępować przy preparowaniu i konserwowaniu czaszek kozłów, podaję doskonały przepis dający bardzo dobre rezultaty.

1. Ściągnięcie skóry z czaszki.

2. Nożem powycinać z gruba mięso z kości i zarazem haczykiem drucianym zagiętym, z otworu czaszki powyciągać mózg.

3. Włożyć do garnka glinianego napełnionego czystą wodą, którą należy co pół dnia zmieniać tak długo, aż nie będzie zabarwiona krwią.

4. Czaszkę pozostawić w ostatniej wodzie i ulokować w porze lata na strychu, a w zimie w piwnicy.

5. Sprawdzać co drugi dzień, czy ewentualnie woda nie wyschła, bo czaszka musi być stale zanurzona w wodzie.

Zależnie od pory roku (w lecie po 10 dniach, w zimie do 6 tgodni) jest czaszka dostatecznie zmacerowana, t. zn. wszystkie resztki mięsa bardzo łatwo dają się spłukać zimną wodą, a szczoteczką wyczyścić kość.

Następnie potrzeba tylko czaszkę położyć na czystym papierze i wysuszyć na słońcu. W ten sposób uzyskamy bardzo ładną kość o naturalnym kolorze, bez wszelkich śladów tłuszczu i krwi.

O ile czaszkę ma się zamiar gotować, to polecam zastosować przepis do pt. 3.

Fr. Kalkus

Rykowisko!

Jesień — Miłosnych czas godów króla gór.
Jeleń, fauny karpackiej najwspanialszy twór —
Haremem łań otoczon, w żądz swych szale
Rycząc potężnie, wyzywa rywale
W szranki i walczy o nagrodę dam —
Dzielnie, jak rycerz, jakby Hektor sam.
Czas to ostatni, aby na te boje
Ostrzelać sztućce, pewne wziąć naboje,
Dobrą latarkę — myśliwskie przybory —
I hajże w góry, na łowy w prabory.
Więc do DMYTRACHA! On wszystko dostarczy,
Lunetę zmontuje, by jak do tarczy
W punkt trafić jelenia. A piękne poroże
Dom łowcy ozdobi, skóra zasła łoże.

LWóW, UL. LEGJONóW 3.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32